Nr. 2 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 stycznia 1932 | Rok 54

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej, Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Nowy kalendarz myśliwski

sporządzony stosownie do rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa z dnia 20. XI. 1931 r. Nr. Z—VI — 6—3 zmieniającego rozporządzenie z dn. 20. X. 1931 r. Dz. U. z dnia 31. X. 1931 r. Nr. 96, p. 737, — które miało obowiązywać do dnia 31. VII. 1934 r., ukaże się w następnym numerze „Łowca".

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

Biuro M. T. Ł. podaje niniejszem do wiadomości, że część własnych i komisowych wydawnictw może oddać po cenach zniżonych, jak następuje:

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	zł 1·—	(zamiast 6·—)
Lisowice III. tom	„ 1·—	„ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku .	„ 1·—	„ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . .	„ 1·—	„ 3·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. po	„ 10·—	„ 20·—

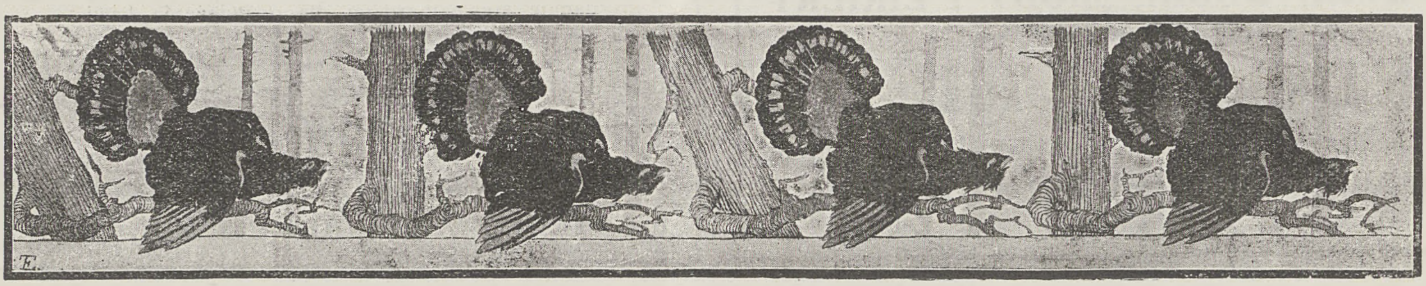
Sztolcman Jan: Żubr	zł 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910	„ —·30
Ustawa Łowiecka R. P. P. z r. 1927 . . .	„ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: „Słonka"	„ 2·50

z doliczeniem opakowania i porta

Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 1/32, zawiera: 1931—1932. Wspomnienia Myśliwego emigranta (dok. nast.) — Breza: Polowanie na łosie i dziki w 1814 r. (ze wspomnień łowieckich Pułk. Wojnarowskiego). — Inż. Leon Ossowski: O danielach w otwartem łowisku, (szkic biologiczno-hodowlany). — Karnkowski Wł. (spolszczył): Tępienie łasicy i jej podobnych. — Egzotyczna wystawa łowiecka. — Księga rodowodowa wyżłów niemieckich. Wolna trybuna. — W odpowiedzi na „Karykaturę strzelecką" H. Tyszkiewicz. — M. P. Lex Ribaltina. Korespondencje. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 2/32, zawiera: Adam Rzewuski: W starej — lecz palącej sprawie. — Dylewski Jerzy (tłum.): Wspomnienia myśliwego-emigranta. — Leon Pęski: Na niedźwiedzia. — Inż. Leon Ossowski: O danielach w otwartem łowisku (szkic biologiczno-hodowlany) dokończenie. — Por. Lewestam: Mój pierwszy zając. — Wacław Szabłowski: O prawie łowieckiem w Danji i Finlandji. — M. Z.: Nowe metody obliczania szybkości początkowej. — Kronika myśliwska. — Kilka słów o wnętrzu restauracji myśliwskiej.



TREŚĆ NUMERU 2:

Nr. 2 We Lwowie, 16 stycznia 1932 Rok 54



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Wzywamy Członków M. T. Ł.

do uiszczenia zaległych i bieżących wkładek!

Konto P. K. O. 145.839

Przypominamy PP. Delegatom, że kwestjonarjusze przesłane przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich należy, o ile się to już nie stało, jak najrychlej wypełnić i o ile możności, za naszem pośrednictwem Związkowi przedłożyć.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Ciąg dalszy)

Lwów niema nigdzie zbyt wiele. Nawet na terenach, o których się mówi, że są „pełne" lwów — liczebnie jest ich mało. Stąd też spotkanie się z tym drapieżcą w ciągu dnia jest rzadkością. Niejeden myśliwy poszukując pilnie za temi drapieżcami i spędziwszy w puszczy szereg miesięcy — wraca z łowów, nie zobaczywszy lwiego ogona.

I byłby może — zawiedziony w swych nadziejach — przysięgał, że lwów w danej okolicy nigdy nie było, gdyby nie drażniące nerwy ich ryki nocne, gdyby nie odnajdywane ich świeże tropy, co niezbicie stwierdzało ich obecność.

Aby lwa dostać na strzał — trzeba mieć szczęście i szczególną łaskę św. Huberta.

Na łatwym terenie możliwe jest osaczenie go konno i przy pomocy sfory psów, czego w środkowej Afryce

zastosować się nie da, ze względu na ogromne trawiska i muchę tse-tse.

Najłatwiejszy jakoby sposób, to zwabienie go do przynęty. Ale i ten nie zawsze daje oczekiwane wyniki. Lew mimo swej rzekomej odwagi, rzadko waży się jawić przy padle w ciągu dnia lub podczas pełni księżyca — zwłaszcza lew, który zauważył, że jest tropiony. A jeśli się jawi — to w noc najciemniejszą, kiedy czatujący myśliwy jest bezsilny, a on panem sytuacji.

Strzał w ciemności — to strzał na chybił — trafił — rzadko daje rezultat pożądany, tem mniej pożądany, gdy się tylko raniło zwierzę. Położenie myśliwego — o ile schron jego nie na pewnej wysokości, ale jak to w zwyczaju na ziemi — nie jest wówczas do pozazdroszczenia. Schron taki — t. zw. zeriba — to kupa chrustu, nie tyle dla bezpieczeństwa, ile dla zamaskowania ukrytych wewnątrz ludzi.

Raniony nocą drapieżca — musi być natychmiast, gdy dzień zaświta, tropiony, na co nie łatwo się zdecydować, nie mając dobrych psów, lub zdecydowanych i chętnych do tego ludzi.

I słusznie; — z tym momentem bowiem zaczyna się prawdziwie niebezpieczny łów, na jaki może się narazić biały myśliwy — często tragiczny w swym epilogu, jeśli już nie dla białego, to dla jego czarnych towarzyszy, którzy uległszy pokusie pieniężnej — na takie przedsięwzięcie się zgodzili.

Najczęściej, bardziej przezorny tubylec, dbały więcej o swoją skórę, aniżeli to sobie jego pan wyobraża — nie da się użyć do tej niebezpiecznej akcji. Zostawia ją białemu, — albo nawet odradza pościgu. A jeśli milczy — to myśli na pewno: idź i szukaj sam, jeśli ci życie niemiłe!...

Myśliwych, którym się udało w swem życiu więcej lwów upolować, było w różnych epokach czasu — tylko niewielu. Byli to tacy, co długie lata spędzili w Afryce, ci co polowali przeważnie konno i z psami, a do tego na terenach łatwiejszych, aniżeli te, jakie nam do takich łowów daje środkowa Afryka.

Byli i tacy, co w jednym dniu kilka lwich skór zdobyli, ale wypadki tego rodzaju są tak rzadkie, jak wygranie wielkiego losu na loterji.

Spotkanie się z lwem — ze względu na nocny jego tryb życia i na wielki obszar terenu, na jakim zwykł polować — nie jest — jak już wspomniałem — zdarzeniem codziennem, a od spotkania do ubicia go — daleka jeszcze droga.

Słusznie też twierdzi jeden z wiarygodnych a bystrych obserwatorów — pisarz i myśliwy, podpułkownik armji niemieckiej — Henryk Fonck*, że można całe lata polować w Afryce, a nie zetknąć się z pewnemi gatunkami zwierząt, szczególnie z pośród drapieżców.

Myśliwy ten, w ciągu szesnastoletniej swej służby w byłej niemieckiej kolonji wschodniej Afryki — polując ciągle — o ile mu służba na to pozwalała — miał w tym czasie tylko jedno z lwami spotkanie. A przemierzył pieszo lub na mule całą kolonję od południa ku północy wiele razy, — poprzez najsłynniejsze ze zwierzostanu okolice, gdzie ryki lwów były mu niemal conocną muzyką podczas postojów, a odciski ich potęż-

* Heinrich Fonck: Unter afrikanischem Grosswild — Wildsteppen und Steppenwild in Ostafrika.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

Tragedja rzeki

Olbrzymie gniazdo na wysokiem drzewie zdawało się być puste. Daleko rozległe lasy nadbużańskie, ciągnęły się hen gdzieś w dal. Drzewa szumiały cichą pieśń wieczorną; krwawo znaczyło się słońce na zachodzie.

Bug cicho toczył swe wody; czasem tylko plusnęła się mała rybka, rozpryskując brylantowe kropelki wody, czasem rybitwa na moment znikała w wodzie, by za chwilę ukazać się z rybką w dzióbie.

Wtem zaszumiało nad drzewem; to wracała matka do gniazda. Była to stara, prawie zupełnie biała samica orła rybołowa. Gniazdo jakby ożyło, coś w niem zaczęło syczeć; dwa rozwarte dzióby czekały na pokarm, który matka przyniosła w szponach. Trzepocącą się jeszcze dużą rybę, rozdzierała na części i podawała małym wprost do dziobów.

Pisklęta były jeszcze bardzo małe. Gołe ich ciała, olbrzymie głowy, miękkie jeszcze dzioby, nie mówiły nic, że mają z nich wyróść olbrzymie orły, postrach ryb. — Jeden z nich większy, była to przyszła matka — samica.

Cisza zaległa w gnieździe kiedy najedzone matka okryła swemi skrzydłami.

Zaledwie jednak świt zaczął się przedzierać przez czarne niebo, znów otwarły się szerokie dzioby, domagając się pożywienia.

Matka wszakże zleciała z gniazda, kiedy promienie słońca wydostały się poprzez zbite tumany mgły, leżącej nad łozinami rzeki.

Wzleciała z gniazda i wnet płynęła nad wodą. Obszar jej łowiska ciągnął się parę kilometrów. Leciała szybko, jakby chciała rozprostować skrzydła po całonocnym spoczynku. Doleciała końca swego rewiru myśliwskiego i obniżywszy znacznie lot, wolno już ciągnęła z powrotem. Wtem coś zobaczyła; prawie zatrzymała się w locie. Wąski, ciemny pasek grzbietu ryby zastanowił ją.

Uderzyła na rybę. Na ułamek minuty, jakby zawarły się nad nią wody rzeki, ale po chwili wyskoczyła z wody. Niestety ryby nie złapała. I znowu uleciała na swych potężnych skrzydłach w dal.

W małej zatoce aż woda burzyła się od nadmiaru różnego rodzaju ryb. Okonie, szczupaki, płotki i węgorze, wszystko to skłębione, rzucało się, wiło w przezroczy-

nych łap często odnajdywano pomiędzy tropami innego zwierza.

To samo mógłby powiedzieć piszący te słowa.

Podczas dziesięcioletniego swego pobytu w Afryce, podróżując i polując ustawicznie, zaledwie kilka razy natknął się na lwy w ciągu dnia, — a tylko w dwóch wypadkach doszedł do strzału. Jeżeli w obydwu tych spotkaniach zdołał posiąść ich pazury, zaś w ostatnim z nich wyniósł szczęśliwie skórę własną — to uważa, że wygrał wielki los, za który zawsze nieść będzie dzięki św. Hubertowi.

Mimo te nikłe wyniki — przyszedłem po latach obserwacji do przekonania, że lew jest wszędzie, gdziekolwiek tylko znajdują się większe przeżuwacze, a także zebry. Gdzie na obszernych pastwiskach, dobrze nawodnionych, gromadzą się duże stada tych roślinożerców, tam lwów będzie więcej, tam gdzie te zwierzęta są w małej ilości, tam lew okaże się prawie nieuchwytnem zjawiskiem.

Lew, żyjąc w rodzinach, które nazwałbym rodziną najbliższą, nie znosi przy ucztach konkurentów z innych rodzin, a tem mniej takich samych — jak on, panów haremu w bliskiem sąsiedztwie, z dobrze zrozumiałych powodów. Stąd też na obszernych stepach o dużej ilości zwierza, chociaż także lwich rodzin będzie wiele — nie znajdziemy ich nigdy blisko siebie. Ściągając się tam za żerem — rozmieszczają się na łowisku w ten sposób, żeby jedna partja drugiej nie wchodziła w drogę. Łatwo to sprawdzić, gdy się czas dłuższy obozuje na takiem łowisku. Lwy bardzo często opuszczając z wieczora swe dzienne kryjówki, huraganowym rykiem zapowiadają tę chwilę — wskazując na te punkty terenu, gdzie ta, lub owa partja lwów się znajduje.

W rykach takich, w których — przy wtórze samic — prym wiedzie stary lew — wyczuć można kolosalną siłę, co z takich płuc się wydobywa. Serenady takie nie mają na celu — jak to się nieraz słyszy — zteroryzowanie i ogłupienie zwierzyny, aby ją tem łatwiej dostać w swe pazury, ale są raczej głosem ostrzegawczym, lub groźbą pod adresem sąsiadów własnego rodu, że mają się trzymać w przyzwoitem oddaleniu.

Podobnemi, jednak już dłuższy czas trwającemi rykami, zwiastują także lwy, zakończenie uczty i zaspokojenie pragnienia u wodopoju.

W ubogich pod względem zwierzostanu okolicach — lew nawet gdyby przez szereg miesięcy nie dał znać o sobie, należy mieć w pamięci, że on tam każdej chwili zjawić się może i z tem się liczyć.

W takich właśnie stronach trzeba się mieć przed nim na baczności. Jedna chwila zapomnienia, jeden krok lekkomyślny z pominięciem nakazanej okolicznościami ostrożności może przynieść niespodziankę, wprost fatalną. Nie mam tu na myśli niespodzianek w czasie łowów, kiedy się jest uzbrojonym i czujnym, ale momentów innych, gdy odkładamy broń, aby zdrzemnąć się na uboczu, lub gdy pragniemy znaleźć się na ustroniu, gdzie towarzystwo innych ludzi jest niepożądane.

Kąpanie się samemu w strumieniach o zarośniętych brzegach, nawet w pobliżu ludnych i ruchliwych osad, jest zawsze niebezpieczne. Tak samo swobodne przechadzki na peryferjach wsi i miasteczek, sąsiadujących ze stepem lub lasem, niekiedy po własnem podwórku na samotnych faktorjach i stacyjkach, nie są wskazane, chy-

---

stych wodach rzeki. Po chwili prysły w bok szczupaki, węgorze swem pijawkowem pełzaniem uciekały ku brzegom, gdzie liczne kamienie stanowiły świetną ochronę.

Olbrzymi cień zawisł nad zatoką. Duży węgorz był już przy kamieniu pod którym miał się schować, gdy ostre szpony rybołowa wpiły mu się w grzbiet. Nie pomogły mu szybkie skręty całego ciała, nie pomogła mu przyrodzona oślizgłość, za chwilę unoszony już był w szponach rybołowa ku lasom, gdzie czekały na niego dwa szerokie, rozwarte dzioby piskląt.

Matka rozdzieliła swój łup pomiędzy dzieci i szybko odleciała znowu.

I znów szybowała nad rzeką, pławiąc się w ciepłych promieniach słońca.

I znów parę razy spudłowała rybę; lecz wreszcie udało się jej złapać młodego szczupaka. Mocno trzymając go w niebiesko-szarych szponach, leciała nad brzeg, gdzie usiadłszy, potężnemi uderzeniami dzioba, rozszarpała go i spożyła.

W południe złapała sporego lina, którego zaniosła do gniazda dla małych.

Pisklęta rosły i stawały się coraz większe, ale i żarłoczniejsze. Z małych, gołych ciałek zaczęły wyrastać niebieskie pałki, zarodek potężnych, przyszłych piór. Wiecznie rozwarte, silne już dzioby, domagały się bezustannie pożywienia, które same już rozrywały.

Po trzech tygodniach po raz pierwszy pisklęta wyszły z gniazda i siadłszy na pobliskich konarach, bacznie przypatrywały się wszystkiemu co się wkoło nich działo.

— — — — — — — — — — — — — —

Pewnego dnia jednak zaszła pierwsza tragedja w rodzinie rybołowa.

Na drzewie, pod którem przechodził gajowy, siedziały młode orliki. Zobaczył je, zerwał strzelbę z ramienia i strzelił. Jedno spisklęt spadło, obijając się o gałęzie rodzinnego drzewa; gajowy zachęcony pierwszym strzałem, wymierzył do drugiego rybołowa — i znowu padł strzał. Ale drugie pisklę tkwiło nadal na gałęzi. Patrzyło tylko zdziwionem okiem, gdzie podział się jego towarzysz. Gajowy zaklął i sięgnął do kurtki po świeże naboje, a nie znalazłszy ich, zaklął raz jeszcze i poszedł do domu, by z nowym zapasem naboi wrócić za parę godzin. Przedtem jednak obciął nogi zabitemu ptakowi, za co miał otrzymać strzałowe od właściciela lasów.

Kiedy matka wróciła do gniazda i zastała tylko jedno

ba w liczniejszem towarzystwie; ale i wtedy lepiej mieć broń przy sobie.

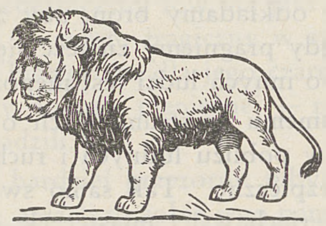
Szczególnie w ciemną i dżdżystą noc nie powinno się wychylać głowy poza próg własnego domu — bez światła i broni. W Afryce nie może być nigdy za wiele ostrożności — najczęściej jest jej za mało.

I dziwnem się może wyda, że nie ten z białych jest ostrożniejszy, który dopiero pierwsze swe kroki stawia na terenie afrykańskim, ale stary doświadczony Afrykander, który poznał, kiedy i gdzie staje się lew najgroźniejszym dla człowieka, i kiedy należy się go najbardziej obawiać.

Dlatego powiedzenie starych wyjadaczy afrykańskich, którzy nie jednego lwa w swem życiu ubili, — że nie ten lew jest straszny, na którego się poluje, ale ten, co poluje na człowieka — jest bardzo na miejscu.

* * *

(C. d. n.)



Dr JAN OPOLSKI

Kłusownik — a Starostwa i Sądy

Gdy przed kilku laty, w niedługi czas po wejściu w życie ustawy łowieckiej, polowałem w C., w znakomitej dziczej kniei, wieczorem, na „ostatni miot” zjechał starosta powiatu pan W. Już z powyższego można wysnuć wniosek, że nie był on z zamiłowania myśliwym. Był to jednak człowiek młody i energiczny i — być może — bolączki łowiectwa rozumiał. Pamiętam, jak w toaście doń zwróconym, jeden ze starych myśliwych wyraził przekonanie, że nowa ustawa i nowy energiczny starosta, to zwycięstwo na całej linji, ochrona zwierza zapewniona, kłusownictwu koniec. Wszyscy aplauzem toastowi przyklasnęli, pan W. (niemasz go już wśród żyjących) z triumfującym uśmiechem, istny zwycięzca przed stoczoną bitwą, toast przyjął i przyrzekł nie zawieść pokładanego w nim zaufania.

Siedziałem malutki, ja, sędzia, milczałem. Nie chciało mi się zresztą opędzać kilku gorzkim uwagom pod adresem sądownictwa w rzeczy tępienia kłusownictwa rzuconym.

Niedługo później czytałem w „Łowcu” artykuł pewnego doświadczonego myśliwego-hodowcy, pana Z., w którym wychwala on znakomite przepisy karne nowej ustawy, ba, już dostrzega praktyczny ich skutek w zmniejszeniu się plagi kłusowniczej.

Jeszcze później jeden z Nestorów małopolskiego łowiectwa, p. K. żali się na Sądy, porównując kary wymierzane dawnemi laty do kar dzisiejszych. Wnet potem już po wejściu w życie nowej ustawy, karno-admi-

swoje dziecię, zakwiliła żałośnie i zaczęła wysoko pod chmurami zataczać szerokie kręgi, kwiląc bezustanku.

Pozostałe pisklę jeszcze parę dni było niezdarne; siedziało na konarach, przestępując z nogi na nogę, machając skrzydłami. Po paru dniach skoczyło na drugie drzewo, co było nielada już zdarzeniem w jego życiu.

Gajowy zapomniał o młodym orle, czy nie miał czasu wrócić do gniazda. A gdy za tydzień przyszedł pod drzewo, zastał gniazdo już puste. Znowu zaklął, uciekła mu bowiem złotówka strzałowego.

Młode orlę tymczasem wydostało się powoli z lasu i stale siedziało na gruszy nad brzegiem Bugu. Czasem tylko, gdy matka przynosiła rybę, zlatywało z drzewa, by pożreć zdobycz. Matka nieraz kładła rybę zdala od stanowiska pisklęcia, by zmusić leniwe swoje dziecko do lotu. Młode jednak zlatywało na ziemię, ale resztę przestrzeni przemierzało śmiesznie poważnemi krokami, kiwając się przytem w obie strony.

Zdawało się, że już nic nie zagraża uszczuplonej rodzinie, gdy wtem jednego dnia młody myśliwy, który błądził za kaczkami po rozlewiskach Bugu, ujrzał kołującego rybołowa. To matka pisklęcia szukała w nurtach rzeki żeru dla wiecznie głodnego swego malca.

Myśliwy pośpiesznie zmienił ładunki w strzelbie i zaczął zbliżać się do orła. Ten jednak nie przeczuwając grożącego mu niebezpieczeństwa, zwolna opuścił się w swym podniebnym locie i wkrótce usiadł na wystającym nad brzegiem wysokim kamieniu. Myśliwy zdradzieckim krokiem zbliżał się, chowając się wśród wiklin łóz, gdy orlica wydawszy głośne kwilenie, wzniosła się w powietrze. Niestety zapóźno. Huknął strzał, niezbyt celny wprawdzie, ale zawsze śruty uderzyły w orła. — Zwisła jedna noga bezwładnie, parę piór wypadło ze skrzydła. Zakołysał się w powietrzu królewski ptak, ale silny organizm pozwolił zwierzęciu, dobywającemu resztek sił dolecieć do boru, gdzie schronił się między szerokiemi, gęstemi konarami drzew.

Nastały teraz dla samicy i jej pisklęcia ciężkie dni. Matka nie mogła łowić ryb; bolała ją noga, która wprawdzie goiła się szybko, ale mimo to dokuczała bardzo. Pisklę znowu, niezdarne jeszcze, samo nie mogło łapać ryb, a matka zraniona, częściej pudłowała rybę, niż ją na brzeg wynosiła.

Powoli jednak wracała stara do zdrowia i sił. Młode przez czas choroby matki stało się bardziej samodzielne. Już nieraz potrafiło samo złapać rybę, przy brzegu bę-

nistracyjnej, która poddaje pod ponowne orzecznictwo sądowe wszelkie orzeczenia karne Starostwa, o ile zasądzony wniosek taki postawi. Na walnem zebraniu M. T. Ł. pan B. odnosi się do tej inowacji pesymistycznie i wyraża przekonanie (na czem oparte?), że w sądzie każda taka sprawa ze dwa lata poleży, nim ją ukończą.

Pan W. G. S. w jednym z ostatnich numerów „Łowca" o „panu sędzim" z bardzo zgryźliwą wyraża się ironją. (Wrócę jeszcze do uwag p. W. G. S.).

Wreszcie prawdziwy S. O. S.: Komunikat Wydziału M. T. Ł. w „Łowcu" z dnia 16 listopada 1931.

Acz bardzo oględnemi słowy ułożony, to jednak — zdaniem mojem — w treści swej nieco nietaktowny. Do licha, wszak w Wydziale zasiadają — o ile się nie mylę — i sędziowie, mogliby niejedno nieporozumienie i niezrozumienie wyjaśnić! A sądzę, że jest coś niestosownego w tej drodze, którą Szanowny Wydział doradza: Starostwo ukarało, Sąd zmienił lub zniósł (t. j. uniewinnił), zaś delegat M. T. Ł. ma się poskarżyć... Starostwu. Starostwo — Województwu, to, Sądowi Apelacyjnemu, który, jeżeli zechce, zbada rzecz w jednym, drugim wypadku i — wierzcie mi Panowie — wyniknie z tego wielka dekonfitura. Dlaczego? Bo orzeczenia karne władz administracyjnych, są w dużym procencie słusznie przez Sądy zmieniane (nie dla pięknych oczu sądownictwa obdarzono je balastem kontroli tych orzeczeń!); bo Panowie Delegaci nie mając tytułu prawnego do wglądu do aktów, nie będą mogli poznać przebiegu sprawy, nie będą mogli dowiedzieć się co jest przyczyną takiego lub innego orzeczenia, nie będą zatem mogli go ocenić — o ile nawet przyjmiemy, że są do tej oceny kompetentni. Z reguły zatem Panowie Delegaci zapoznają się ze sprawą jednostronnie. Dowiedzą się o niej od pokrzywdzonego, właściciela zwierzyny, uwierzą mu na słowo, doniosą Starostwu, niemile dotkniętemu tem, iż mu zmieniono orzeczenie, to poskarży się — opierając się na kiepskich informacjach — Województwu, Województwo zaś Apelacji, która sprawę zbada i... w ogromnym procencie wypadków, nastąpi kompromitacja. Skutek tego będzie taki, że na tym podobne interwencje delegatów, Sąd apelacyjny przestanie reagować*.

Jeżeli wspomniany komunikat M. T. Ł. ma być — jak wyraziłem przypuszczenie — S. O. S. łowiectwa polskiego — to nie tędy wiedzie droga.

Postaram się ją w tym i może w następnych artykułach wskazać, nieporozumienia usunąć, niezrozumienie wyjaśnić, sądownictwo chociaż w części usprawiedliwić i ochronić na przyszłość przed — niesłusznemi przeważnie krytykami.

Na razie poruszam tylko kwestję zwalczania kłusownictwa.

Więc przedewszystkiem na tej platformie stosunek Władz administracyjnych do władz sądowych.

Moje legitymacje? W porządku: stary myśliwy, sądzę — poprawny, niemłody sędzia, w pełni kompetentny, gdyż niejeden rok w sprawach karnych, od najmniejszych do największych zagrzebany. Od dwu lat

* Pozwoliłem sobie tu tak jawnie i publicznie skrytykować Komunikat Szanownego Wydziału — jak jawnie i publicznie został on ogłoszony. Sam fakt, że nie został on skierowany listownie do poszczególnych P. Delegatów, wskazuje na intencję Szanownego Wydziału nadania mu rozgłosu. Sądzę przeto, że forma jaką obrałem na wypowiedzenie swoich uwag, jest odpowiednią, gdyż równorzędną.

---

dącą. Coraz dłuższe wycieczki robiło, coraz lepiej nauczyło się latać.

Nawet pewnego rodzaju przyjemność znalazło w podniebnym locie, mogąc pławić się w promieniach słońca i widzieć wielki szmat ziemi z wysokości lotu.

Może to wszystko było dziełem ręki, która kierowała życiem natury, że młode pisklę, dzięki ranie matki, wcześniej zaczęło używać szponów, stało się bardziej samodzielne, bardziej przedsiębiorcze.

Mijały dni. Przeszło lato...

Młody rybołów, który teraz często odbywał dalekie wycieczki, wracał z nich dopiero wieczorem.

Pewnego jednak dnia nie wrócił. Hen, daleko w górze rzeki, znalazł sobie rewir, niezajęty dotychczas przez innego orła. Odtąd miał wieść życie całkiem samodzielne.

Przyszła zima.

Brzegi rzeki zamarzły.

Ciężko było teraz starej samicy znaleźć pokarm w zimnych nurtach Bugu, tembardziej, że noga, pomimo zagojenia się rany, była nie do użytku.

Jednego ranka, matka rodu wypłynęła na skrzydłach po żer.

Mróz w nocy chwycił silniejszy, a i wiatr dął piekielny. Słońce tylko rzucało swe promienie na ziemię. Nie grzały one jednak jak w lecie. Orzeł leciał jak zwykle nad korytem rzeki; lotem stanął. W głębi ujrzał grzbiet dużego szczupaka. Spadł, jak kamień do wody, wbił swe szpony w ciało ryby. Chciał wzlecieć, ale ciężar ryby nie dozwolił. Postanowił wyrwać szpony z ciała szczupaka, ale głęboko tkwiły. — Ryba tymczasem płynęła coraz szybciej. W pewnym momencie orzeł zdołał oderwać szpony od swej zdobyczy.

I znowu chciał się wzbić. Niestety! Głowa uderzyła o coś przezroczystego, białego, twardego. Był to lód. Ryba bowiem, uciekając, zaciągnęła orła pod lód, z pod którego nasza samica nie mogła się wydostać. Zaczęła się dusić. Brak jej było powietrza. Woda zalewała gardło, nozdrza, uszy. Ciemno zrobiło się jej przed oczyma. Jeszcze raz machnęła skrzydłami, głowa jej uderzyła znowu o przezroczystą powłokę.

Powoli ogarniała ją ciężkość. Zaczęła iść na dno.

Nikt odtąd nie widział białej orlicy. Spełniła się jedna z licznych tragedyj w przyrodzie.

affirmuję lub zmieniam orzeczenia czterech Starostw. — Któż może zatem lepiej o sprawach tych sądzić? A że sądzić umiem bezstronnie — postaram się wykazać.

Więc przedewszystkiem rozwiejmy główne nieporozumienie:

Właściwemi do karania za kłusownictwo są Sądy a nie Władze administracyjne. Kłusownictwo — to kradzież, zwyczajna, ordynarna kradzież. Przekroczenie, gdy wartość zwierza dochodzi 50 zł., a kradzież z okopanego lasu, wyżej — zbrodnia. Z pola i z lasu nieokopanego granicą 200 zł. Za pierwsze kara aresztu od tygodnia do 6 miesięcy, za wtórą — więzienie ciężkie do roku, wyjątkowo do 5 lat. Mam oczywiście na myśli ustawodawstwo obowiązujące w Małopolsce.

Ustawa łowiecka ma inne cele aniżeli zwalczanie kłusownictwa. W pierwszym rzędzie reguluje ona stosunki łowieckie — nie miejsce je tu wyliczać. Wszelkie zakazy w niej zawarte — stosują się prawie wyłącznie do warunków wykonywania **legalnego łowiectwa.** Jest zatem skierowaną do myśliwych i hodowców, a nie do złodziei. Do myśliwych i do „myśliwych". W każdym razie do tych, co się uważają za uprawnionych do wykonywania tego pięknego sportu, pańskiej rozrywki, lukratywnego przemysłu, ucieczki od rzeczywistości — jak kto tam zresztą pojmuje. A że ten i ów (a dużo jest takich), uważa, że może nie wykupić karty myśliwskiej, albo polować po zachodzie słońca, albo trzepnąć sobie kaczkę samicę na ciągu słonek, zabić czarnego bociana, otruć strychniną lisa... horribile dictu... ze strzelbą chodzić po cudzem łowisku, polować nawet i t. d., i t. d. — dla tych więc, dla tych wszystkich lekceważących przepisy, albo zgoła kłusujących a jednak nibyto legalnych myśliwych — istnieją karne sankcje ustawy łowieckiej.

Ilu jest takich? Legjon cały! Tu zabito jelenia na obszarze niżej 1000 ha... Kto zabił? Niby „porządny" myśliwy, swojego, nie na cudzem. Ówdzie młody zapaleniec nie wytrzymał i zgładził kapitalnego rogacza w dniu 30-go maja albo też w kwadrans po zachodzie słońca. Albo zająca w odległości 90 a nie 100 metrów od zabudowań. Któż im to tak dalece za złe weźmie? Chyba Kato jakiś, są i tacy. Nieprzyjemni ludzie, ręczę, że niejeden na sumieniu grzeszek mają.

A te liczne, liczne zastępy myśliwych związanych w setkach „Towarzystw myśliwskich" mających na celu tępienie zwierzyny, (szaraków) do ostatniego? Mają karty i na broń i łowieckie, statuty, wydziały, prezesów. Bóg wie co jeszcze, — a w którymże to z artykułów karnych w kolizję taki nie wejdzie? Nie zastrzeli zająca w maju? Nie podniesie padłego na gruncie sąsiednim, ba, tkwiąc pod lasem dworskim, dniem, nocą, czy nie zawaha się skierować broni w cudze? Chyba żubra, bobra, kozicy nie zastrzeli, bo że ściągnie wiewiórkę, gdy mu blisko smyknie — to pewne.

Otóż przeciwko tym wszystkim panom wymierzona jest ustawa łowiecka w swych przepisach karnych. Dlatego grożące kary są stosunkowo nadzwyczaj niskie.

Jak wyżej wspomniałem, za kradzież-kłusownictwo według ustaw karnych powszechnych przewidziane są kary znacznie dotkliwsze. W teorji przynajmniej. — O praktyce pogadamy niżej.

Jednak, niektóre z owych przepisów ustawy łowieckiej, są tak skonstruowane, iż je można odnieść i do zawodowego kłusownika. Nie ma wprawdzie w nich użytego słowa „kradzież", „kłusownictwo" ale jest „bez karty", „chodzi po cudzych gruntach", „poluje na cudzym obwodzie", „poluje sposobami niedozwolonemi" i t. p. Czyny, których — jak wykazałem — może dopuścić się „pan myśliwy", ale również i pan złodziej.

W praktyce rzecz przedstawia się tak, że Starostwo karze wyłącznie kłusowników nie „myśliwych", mylnie uważając się za powołaną do tego przedewszystkiem władzę. Oczywiście, że może tak czynić i właściwie dobrze, że tak czyni, wobec tego, że Sądy — przyznaję to otwarcie — i mojem również zdaniem, **w ogromnej ilości wypadków karzą zbyt nisko, śmiesznie nisko.** Więc ma kłusownik kłusować bezkarnie — to lepiej iż ukarze go Starostwo, chociaż niewłaściwie, aniżeli właściwy Sąd, lecz zbyt łagodnie. Powinno być jednak inaczej: **za kłusownictwo winien karać surowo sędzia, za nielegalne łowiectwo — Starosta.** Wskażę drogi jakie wiodą do osiągnięcia tego ideału. Drogi całkiem proste i nieomylne.

Tymczasem jednak konstatuję fakt, iż wyrobiła się całkiem fałszywa praktyka. Sądy karzą — naogół — nisko, więc żal i rozgoryczenie. Pokrzywdzeni zwracają się do Starostw, którym ufają więcej, te zaś wszedłszy w praktykę karania wyłącznie kłusowników, zapominają o właściwym celu przepisów karnych ustawy łowieckiej i wogóle o legalność łowiectwa, legalnych łowców nie stoją. Przytoczę racje: Kto bada na polowaniu gremjalnem, tu u nas w Małopolsce, czy każdy z myśliwych opłacił kartę łowiecką? Nikt, chyba gdzieś, jakiś wyjątkowy komendant posterunku. Konia z rzędem daję temu Staroście, któryby ukarał bogatego ziemianina polującego po zachodzie słońca, lub sposobem **nieco** niedozwolonym. Albo ziemianina, któryby się dopuścił innego mniejszego przekroczenia. Karanie Starostwa ogranicza się wyłącznie do tępienia (jakże nieudolnemi środkami!) kłusownictwa.

Wspomnę tu mimochodem, że nie spotkałem się jeszcze dotychczas z zastosowaniem tej najkapitalniejszej sankcji karnej artykułu 81 ustawy łowieckiej, a to ukarania rodziców za nieletnich szkodników. Jakże miło wyobrazić sobie taką sytuację: synek złapał we wnyki zająca, tatuś i mamusia musieli zapłacić grzywnę po 50 złotych (ileż to krów dzisiaj!) a potem — zapominając o tem, że sami synka z wnykami posłali — na skórze sprawcy zapłacone grosze odbijają. Taki to pewnie na kłusownika nie wyrośnie.

(C. d. n.)

ADAM RZEWUSKI

Z przelotów zeszłorocznych na wielkich wodach Wołynia

I.

Jak zwykle wybrałem się do miłych Borsuk (powiat krzemieniecki), do mej ukochanej bratowej hr. Niny Rzrewuskiej i bratanicy Jadwigi hr. Tyszkiewiczowej-Łąckiej.

Sądziłem, że zjechawszy tam w drugiej połowie października, trafię akurat na „centralny" okres przelotu gęsi, do których to, jak zawsze, najwięcej się „paliłem". W kilkunastoletnim bowiem okresie corocznych wyjazdów moich na owe wspaniałe wodozbiory, najlepszy to bywał czas masowych odwiedzin północnych gości.

Tymczasem, pewnego rodzaju „bolszewizm" nawet w Naturze, tym razem inaczej zarządził niestety!..

Na skutek, bądź to niebywałych huraganowych wiatrów, w drugiej połowie września z. r. — czy też okresu gwałtownych burz rozszalałych w końcu października nad żyzną ziemią Wołyńską — dość, że gęsi nie dopisały z kretesem!..

Zazwyczaj, na tych ogromnych stawach, sformowanych Horyniem (Borsukowiecki około 700 ha, Peredmirecki 350 ha powierzchni) — już zaraz po 10 października, nadlatywały z północy pierwsze kohorty tych niegdyś zbawczyń Kapitolu!

Rozpatrzywszy się w sytuacji, nowoprzybyłe stada znajdując obfity żer na okolicznych polach obsianych oziminą, zatrzymywały się u nas, po dwa, trzy tygodnie nieraz, stosując się do pogody oczywiście.

Dniem pasąc się na przyległych zasiewach— regularnie podążały na noc na wodę, z której o brzasku, znowu odlatywały.

Ten tryb ich życia, umożliwiał zdobycie kilkunastu podczas sezonu, pięknych i różnorodnych okazów, od zwykłych „anser, anser" począwszy, do daleko rzadszych „anser albifrons, bernikla" i innych gatunków.

Nocne te polowania poniekąd przypominające, że tak powiem „podchód" raczej „podjazd" łódką — głuszca, opisane przezemnie tylokrotnie (patrz: „Ze strzelbą na ramieniu" A. Rzewuskiego, oraz „Łowiec Polski", stary „Przegląd Myśliwski" ś. p. Ejsmonda) — nie były bynajmniej łatwą imprezą, ale natomiast źródłem niezrównanych czarownych emocyj i drogocennych przeżyć łowieckich!..

Owe godziny nocne spędzone w jesiennych szarugach na podkradaniu się szuwarami do zaobserwowanych kompanij, jeszcze z wieczora, przez specjalistę rybaka-gondoljera — chytrości Irokeza, związane z wykorzystaniem kierunku wiatru, przyholowywanie gęsi śpiących ze środka stawu aż pod sam brzeg „oczeretów", strzał wreszcie do okazałych, podrywających się bohaterek gęgających, — stanowił zaiste splot niesamowitych, rzadkich wrażeń łowieckich — wysoką estetyką przepojonych!..

Mało kto z dzisiejszych myśliwych uprawiał podobne zabiegi!..

Nie dużo wśród nas prawdziwych było a tembardziej jest gęsiarzy.

Gdyż ten proceder zaiście „amatorski" — może li tylko „wybranych" być udziałem!.. Bo i o katarek a nawet dobrą grypkę nie trudno! — No i noc nie jedną wypada spędzić rzetelnie „na wylot" — bezsenną!..

Jeden z rzadkich Nemrodów „dawnego autoramentu" nasz czcigodny, tyle zasłużony łowiectwu p. Albert Mniszek, którego barwnemi, z takim talentem ujętemi wspomnieniami z kresowych łowów delektowaliśmy się nieraz na szpaltach naszego drogiego „Łowca" — pewien jestem, że zsolidaryzuje się ze sługą łaskawych Czytelników!.. Nestorzy nasi albowiem, chyba do syta miewali możliwość upajać się całkowitym czarem tych pięknych ekspedycyj, za tak rzadką zwierzyną!..

A dalipan!.. i młodszym naszym braciom, warto skosztować tych trudnych rozkoszy!..

Nie wiele coprawda odpowiednich terenów posiadamy!

Borsuki na Wołyniu, stawy w Tarnopolu, Gródku, Bohatkowcach, na Strypie w Małopolsce (patrz śliczne opisy wypraw akwatycznych Stefana hr. Badeniego, w Jego mistrzowskiej książce „Szczęśliwe dni" — o ilustrajach „marzeniach" — dla duszy myśliwskiej!) — szereg wodozbiorów, dziś niestety w piekle bolszewickiem „rozkwaterowanych" i... koniec!..

Ale przy dobrych chęciach „skosztowania" nowych łowieckich dreszczów — nie masz przeszkód dla prawdziwych rycerzy z pod zielonych sztandarów!..

Otóż tegoroczny kaprys przyrody nabawił mnie pecha. „Skosztowałem" — liznąłem zaledwo!... Cóż robić!?

Po 20-ym października zjechawszy do Borsuk, dowiedziałem się, że w ostatnich dniach września słychać było podobno, ciągnące gdzieś „w podniebiosach" liczne nawet stada. Lecz jeśli zatrzymywały się one dla koniecznego odpoczynku i wodopoju na kilka godzin, to z brzaskiem — hajda, dalej i tyle je widziano!... O turystycznych wywczasach, „gastronomicznych" ucztach na przytulnych polach i mowy być nie mogło!.. Dążyły jak szalone, śpieszyły się ku słońcom południa!..

Widocznie gruntownie zostały steroryzowane przez niepogodę i aurę bezlitosną, tam, w dalekich tundrach Laplandji — no i klimat tegoroczny „Matuszki Rossiej" — oczywiście koordynował się całkowicie z metodami politycznych rządów, obecnych „czerwonych" jej carów!

Zaiste! — wzruszająca harmonja!.. lecz „casus paskudeus" — dla mnie, krótko mówiąc!... Ale cóż robić?

Może Święty nasz Patron wynagrodzi na innem polu, lesie, wodzie czy moczarze? — skromnego Swego sługę.

Nadzieją żyje świat cały, tem bardziej my myśliwi!.. Więc trzeba być zawsze dobrej myśli — „envers et contre tous!" — Doczekaliśmy się tylu rzeczy — do dobrego przelotu gęsi — da Bóg, dożyjemy też!..

II.

W Borsukach zastałem coprawda „multum" kaczek. Daleko więcej nawet, niż w roku ubiegłym. I to wszelkich, najróżnorodniejszych odmian. Prawdziwe lawiny kacze rozciągały się i czerniały na całej tafli wód stawowych!

Niczem śledzie na wybrzeżach New-Funndland'u i Dogger-banku! Ale z powodu uporczywych codziennych wichur — li tylko podczas wieczornych przelotów, dobrze ukrytemu w szuwarach na właściwym szlaku, można było zdobyć kilka sztuk jednego wieczoru — i to nie codziennie.

Poczciwe „anas boschas", miłe cyraneczki i podgorzałki, od których podobno dni temu kilka wstecz, aż roiło się w trzcinach, jak mi szeroko o tem „specjaliści" bajali — obecnie gdzieś się podziały!

Gdzieś niegdzieś, porwie się na strzał jedna, druga krzyżówka i nic ponadto!.. Rozpacz, jednem słowem!.. A tymczasem ten specyficzny Wołyńsko-Podolski zefirek dmie tak, że na łódce ledwie usiedzieć możesz bracie — a nieszczęsną „płoskodonką" fala rzuca gorzej, niż los współczesnym obywatelem nieszczęsnej kuli ziemskiej!..

Pomimo to, w jeden z zaciszniejszych nieco dni, padło z mej ręki na 26 strzałów, z mego zasłużonego Heimowskiego „trzylufka" — ośmnaście sztuk! Nieźle, co? — dla myśliwca, któremu za 38 lat — co daj Panie Boże doczekać — sto pełnych, jak rybie oko, liczyć się będzie!..

Później natomiast — poszło daleko gorzej!..

„Brałem", jedynie tylko na wieczornych przelotach, oraz brzegowych „sadach", które były bardzo niestałe i trudne do określenia. I to nie więcej, jak 3—4 sztuki tylko!

Zdarzały się coprawda między niemi rzadkie i piękne egzemplarze, kwalifikujące się do wypchania, ale zawsze „mizerją" wielką, było to wszystko! Dobrze powiada staroświeckie przysłowie: „Nędza z biedą — w taniec idą — a mizerja, gra na skrzypcach".

Za tydzień pobytu mego w Borsukach, padło — horrendum!... 36 sztuk! A powinienbym podnieść jakie ze stopięćdziesiąt przy normalnej, nie „komunizującej" pogodzie.

Do tego stopnia, że całych dwa dni „ja" nawet, zmuszonym był „polować" — piórem, pisząc artykuły do przeróżnych dzienników.

Sławetny Nykon kategorycznie zajawił: „Pane, potopymoś na czysto — na takom witru" (potopimy się na pewno — na podobnym wietrze). Tem bardziej, mogła ta ewentualność łatwo nastąpić, po dobitnie zalatujących aromatach, od dzielnego „gondoljera", — rodzimej, naszej monopolowej „czystej"!

Dwóch zdań w tej materji być nie mogło.

To też „zastrejkowałem" — i nie jeździłem!..

Gęsi „anser-anser", których dwa gniazda na spławach borsukowieckich w tym roku się wyhodowało, widziałem raz tylko jeden na oczy, oraz stado północnych, tak zwanych tu sybirek.

Pokrążyły, pokrążyły nad stawem pewnego wieczoru i... tyle je widziałem. Odleciały, gdzie pieprz rośnie.

Poza tem, „citus, mutus" — rzekłbyś, jakby gęsi na świecie nie było!

Wieczorami, stojąc na kaczych przelotach, chociażby posłyszało się jedno gęgnięcie... — Nic! — absolutnie nic!...

Nadzwyczajnie byłbym wdzięczny, jeśliby ktoś z kolegów - myśliwych podzielił się też swemi obserwacjami tegorocznemi pod tym względem. Jestto ciekawe z punktu ornitologicznego.

A może gęsi w ub. roku dopiero później, podczas listopadowej — złotej polskiej jesieni do nas nadleciały?!... „Chi lo sa"?

Prosiłbym też miejscowych myśliwych o „zreferowanie" mi późniejszych wiadomości, — a nie omieszkam podzielić się z łaskawymi Czytelnikami!...

III.

Chociaż konkretny rozkład tegorocznych polowań na wielkich wodach był minimalny, nie padł ani jeden gąsior, czy gąska nawet — ale natomiast „delicje" tych błogosławionych godzin „odpoczynku", od udręki „miasta złego" — były zawsze jednakie!

Było jak zawsze, nie mało raptownych „zjaw" w mrokach wieczoru, sylwetek kaczych nad samą głową „nadleciałych„!

Nie mało „szrapnelowych" osobników o błyskawicznym locie, wymagało też nie mniej gwałtownych, rzutowych strzałów do nich!..

Metaliczne poświsty stad, wysoko ciągnących w bezgranicach powietrza, upajały swą przedziwną melodją!

A owe wsłuchiwania się, niemal religijne, w orkan burz szalejących, jakoteż w ciszę absolutną otaczającego Wszechstworza!..

Święte ukojenie jestestwa całego pod beznadziejnie szarym, czy też rozgwieżdżonym, welonem Niebios!..

Wszystko na okół pieściło z zawsze tą samą matczyną tkliwością, przemęczoną duszę.

Za wianek cały kwiecistych chwil podobnych, za nowy zapas sił do dalszej twardej walki życiowej, poczerpniętych z czarnych rozłogów „dobrej" ziemi Wołyńskiej, dzięki składa stary pułkownik, uroczym kasztelankom!..

Nie zapomnę nigdy tego skrawka „Dzikich Pól" Prajców! — skrzydlatą rzeszą dawnej „husaryj" ongiś rozśpiewanego — dziś — jak i natenczas, jednaką estetyką przepojonego!

Dopóki jest możliwość na „tle" podobnem i „tak" polować, — życie, pomimo całej swej ohydy — strasznem nie jest — i żyć warto! — i jeszcze raz warto!

Świętemu Hubertowi Cześć!!!



Conseil International de la Chasse

Sesja II-ga.

Ptactwo wędrowne i latarnie morskie.

Referat wygłoszony przez P. Villatte de Prugnes, członka Rady administracyjnej St. Hubert Klubu we Francji, Prezydenta Federacji myśliwskiej, departamentu Allier.

(Ciąg dalszy)

Co zrobiono dotychczas we Francji, aby ochronić ptaki przed latarniami morskiemi.

Mówiono całemi latami o zatracie ptaków przez latarnie morskie, nie próbowano jednak temu zapobiec, bo nie znano rozciągłości klęski, bo wielu rzeczami nie interesujemy się wobec ogólnego defetyzmu, a często z jakiejś zazdrości lub wobec przewidywanych z góry trudności w sprawach, które się okazują bardzo pojedyńcze, skoro się przystąpi do ich zrealizowania.

Przy niektórych latarniach próbowano zmniejszyć różnemi sposobami siłę uderzenia ptactwa o nie.

Z początku rozwieszano wiotkie siatki mające osłabić uderzenie. Ten system przyniósł w rezultacie to tylko, że ułatwiał kłusownictwo strażnikom. — Proponowano następnie odstraszać ptaki hałasem. Mówiono, że w nocy widzą one źle, ale słyszą doskonale i niezwykłym hałasem będą odstraszane. — Ale administracja latarń morskich nie zgodziła się na instalację kołatek, dzwonów lub syren obsługiwanych podmuchem wiatru lub jakimś motorem, dowodząc słusznie, że strażnicy potrzebują snu i że nie można dopuścić, by byli budzeni nagle, jeżeli hałas ma powstawać od czasu do czasu lub aby czuwali całą noc wśród hałasu nieustającego.

Co zrobiono zagranicą, aby ochronić ptaki przed latarniami morskiemi?

Zagłada ptactwa powodowana latarniami morskiemi, wywołała kilkakrotnie żywe protesty i to rzec można całego świata, skoro Szwajcarja, Holandja, Anglja i Niemcy porozumiały się w tym kierunku, by delegować ekspertów celem szukania środków zaradczych, przyczem ogłoszono nawet konkurs obiecując nagrodę wynalazcy takich środków.

Przed trzydziestu laty, strażnik latarni umieszczonej u ujścia Wezery oznajmił, że od czasu, gdy w ciemne nocy rozlegają się regularne dźwięki dużego dzwonu umieszczonego na wieży, przylatywanie ptaków do latarni zmniejszyło się nieco.

Odnosiłem zawsze wrażenie, że obierano fałszywą drogę w poszukiwaniach za rozwiązaniem tej kwestji, ilekroć wychodzono z założenia, że ptaki przelotne giną od uderzenia się o oszklone ściany kopuły. A jednak to przypuszczenie tak silnie było podkreślane w rozmaitych artykułach, że na kongresie ornitologicznym w Budapeszcie w r. 1891 niejaki Fischer wniósł, aby w odległości dwu metrów dokoła kopuły rozwieszać siatkę konopną o drobnych okach. Siatka ta miała w sobie jednoczyć dwie zalety: po pierwsze miała być dość tęgą, by się oprzeć uderzeniom ptactwa, a powtóre nie być sztywną, ale właśnie wiotką, by dzięki tej jej podatności ani ptaków nie raniła, ani ich gwałtownie wstecz nie odrzucała. Projekt ten jako oparty na mylnem założeniu, był bezskuteczny i nie dał żadnych rezultatów.

Idea zaopatrzenia latarń morskich w urządzenia, na którychby ptaki wędrowne mogły spocząć, powziętą została przez Holendra dra Thysse'go i została natychmiast uznana za doskonałą.

Niemcy pierwsi zastosowali coś w tym guście na Helgolandzie. Naśladowały ich Stany Zjednoczone, a potem Holandja weszła na tę drogę przy swych trzech latarniach morskich: a to przy latarni w West-Schowen na wyspie Schowen w Zelandji, przy latarni w Brandaris, na wyspie Terscheling we Fryzji i przy latarni Ameland na wyspie tej samej nazwy, również we Fryzji się znajdującej.

Wszystkie te trzy latarnie zwiedziłem po kolei.

Francuski Saint - Hubert Club słusznie wzruszony olbrzymiemi hekatombami ptaków przelotnych u latarni morskich, postanowił w r. 1926 zrobić coś, by je złagodzić. Za jego zawsze czujną inicjatywą, zostały zaalarmowane i o sprawie poinformowane Stała Komisja łowiecka i jej sekcja ornitologiczna przy Ministerstwie rolnictwa. Na skutek tej interwencji powierzono mi jako reprezentantowi Saint Hubert Klubu misję zapoznania się w Holandji z urządzeniami poczynionemi przy tamtejszych latarniach dla ochrony ptactwa przelotnego.

U latarni morskiej w West-Schowen oparto według systemu Thysse'go o balustradę platformy 7 lub 8 ramek żelaznych ułożonych na sposób drabinek, których szczeble mają około 75 cm długości, a minimalną średnicę. Te drabinki umieszczone ukośnie względem ścian wieży, tworzą rodzaj dachu przezroczystego dokoła platformy i kopuły wieży.

Podczas nocy z 6 na 7 listopada r. 1926, obserwowałem od godziny 10,30 wieczór do 3,30 rano. Z początku była zupełnie ciemna noc i padał drobny deszcz, potem nastała dość gęsta mgła, a wkońcu firmament odkrył się zupełnie i świeciły gwiazdy. Jak długo panowały ciemności obserwowałem przybywanie dość licznych ptaków, a to szpaków, drozdów i raszek. Czepiały się one nieźle drabinek najbardziej oświetlonych lub siadały na balustradzie platformy.

Rano zebrałem u stóp wieży dwa chruściele i trzy trzcinniczki wodne. — Ta wieża znajduje się w czystem polu.

U latarni w Brandaris zainstalowano również podług systemu Thysse'go nietylko drabinki przytwierdzone do balustrady platformy, lecz umieszczono także cztery bardzo szerokie stopnie ponad czterema frontami platformy, która jest kwadratową. Te ostatnie są bardzo silnie oświecone światłem promieniującem z latarni. Nadto skompletowano ten system ochrony instalując w każdym z czterech kątów balustrady lampy elektryczne skie-

rowane ku ziemi, a dość silne, aby także słup latarni był doskonale oświetlony aż do ziemi, a konsekwentnie dobrze widzialny. Umieszczone na kopule cztery zakrzywione podpory dźwigają każda po jednej lampie elektrycznej. Te cztery lampy oświecają drabinki kopuły i czynią je dobrze widocznemi.

Podczas nocy z 11 na 12 listopada obserwowałem od godziny 11,30 wieczór do 3-ciej rano, przy pogodzie lekko zachmurzonej. Widziałem wielką liczbę przelatujących szpaków, dużo drozdów, raszek, skowronków, mysikrólików, kilka siewek i słyszałem głosy kulików.

Rano znaleziono u stóp wieży zabitego chruściela. — Wieża ta znajduje się w środku wsi Terscheling. — Wieża Ameland znajduje się w czystem polu.

Widziałem tam urządzenie składające się wyłącznie z lamp elektrycznych, oświecających kopułę i słup latarni w taki sposób jak w Brandaris, ale nie ma tam zupełnie drabinek.

Otóż tam poczyniłem następujące spostrzeżenia:

1. Trzeba by drabinki były bardzo widoczne, by ptaki na nich się sadowiły.

W Brandaris, gdzie kopuła jest dobrze oświecona, szpaki i raszki przyciągnięte snopami światła leciały wprost na latarnię, przybywszy jednak bliżej i zobaczywszy dobrze drabinki kopuły, podnosiły się i siadały na nie. By dobrze stwierdzić ważność tego faktu gasiliśmy lampy oświecające drabinki, a wtedy żaden ptak nie siadał na kopułę.

Byłoby mem zdaniem dobrze, by kopuły latarni morskich malowane były na biało, a nie na czerwono, jak to uczyniono w Holandji.

Co do drabinek, to powinny one być dobrze oświecone światłem, rozpraszanem z latarni morskiej, a na zewnątrz snopów światła.

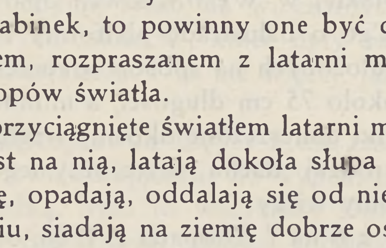
2. Ptaki, przyciągnięte światłem latarni morskiej, a nie lecące wprost na nią, latają dokoła słupa oświeconego, podnoszą się, opadają, oddalają się od niego, a czasem po opadnięciu, siadają na ziemię dobrze oświeconą.

3. Zdaje mi się, że trzeba zawsze studjować bardzo dokładnie i drobiazgowo sposób oświetlenia każdej latarni morskiej, modyfikując rozstęp i kierunek lamp, bo oświecanie nie może być jedno i to samo dla wszystkich latarń morskich i trzeba szukać wielkiego kontrastu między światłem samej latarni morskiej a oświetleniem murów słupa, na którem się latarnia znajduje.

4. Słup latarni morskiej musi być dobrze oświecony, aż do terenu, a ten również dokoła słupa.

(Dokończenie referatu nastąpi.)

(tłum. *A. Sander*)



Zawartość trzech żołądków lisich

W numerze 42 czasopisma niemieckiego „Wild und Hund" z 16 października 1931, przedstawia Maks Heinemann wyniki sekcji trzech ubitych przez siebie lisów. Ze względu na aktualne u nas w obecnych czasach zagadnienie: „czy lisa należy chronić?" podaję do wiadomości naszych myśliwych artykuł odnośny, z myślą, czy nie należałoby i u nas przeprowadzać sekcje ubitych lisów, aby na podstawie uzyskanych wyników, wydać opinję o aktualnem obecnie zagadnieniu.

Otóż wymieniony p. Heinemann, który się podaje za gorliwego tępiciela lisów, a który już niejednego mykitę unieszkodliwił, zbadał zawartość żołądków trzech ubitych przez siebie w różnych porach dnia lisów.

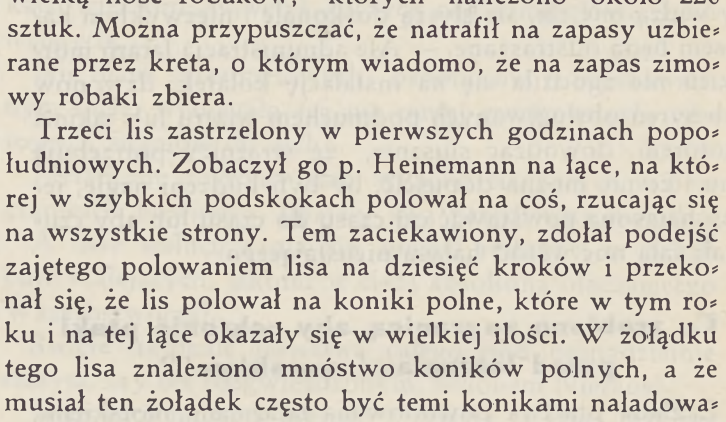
Pierwszy lis, zastrzelony wcześnie rano. Znaleziono w żołądku tylko pogryzione gruszki dziczki znane ze swego cierpkiego smaku. To podaje do wiadomości tych myśliwych, którzy wierzą, że lis spożywa tylko myszy i zwierzynę.

Drugi lis zastrzelony także rano ale już przy jasnym dniu po wschodzie słońca. Zwracał uwagę na zewnątrz gruby brzuch. W żołądku znaleziono kłębek robaków „dżdżownic" jakie się często widzi po ulewnym deszczu na drogach. Zastanawiającem było, skąd uzbierał lis tak wielką ilość robaków, których naliczono około 220 sztuk. Można przypuszczać, że natrafił na zapasy uzbierane przez kreta, o którym wiadomo, że na zapas zimowy robaki zbiera.

Trzeci lis zastrzelony w pierwszych godzinach popołudniowych. Zobaczył go p. Heinemann na łące, na której w szybkich podskokach polował na coś, rzucając się na wszystkie strony. Tem zaciekawiony, zdołał podejść zajętego polowaniem lisa na dziesięć kroków i przekonał się, że lis polował na koniki polne, które w tym roku i na tej łące okazały się w wielkiej ilości. W żołądku tego lisa znaleziono mnóstwo koników polnych, a że musiał ten żołądek często być temi konikami naładowany, świadczył obfity tłuszcz i puszyste futro lisiury.

Heinemann kończy zdaniem, że może te ciekawe wyniki sekcji żołądków lisich zachęcą myśliwych do przeprowadzenia badań żołądka u lisów ubitych w obecnym sezonie myśliwskim i podania wyników do wiadomości ogółu myśliwych.

A. Ulm.





Fot. H. L. Mycielska

Wykopanie żywego i zdrowego borsuka w Boryniczach w listopadzie 1931 r.

STEFAN FILIPOWICZ
delegat M. T. Ł. na pow. Skole i Z. P. T. Ł.

Z zeszłorocznego rykowiska w Majdanie

Posłuszny wezwaniu, przedkładam w załączeniu sprawozdanie łow. z zeszłorocznego rykowiska, oraz dokładne daty statystyczne dotyczące zwierzostanu w niżej zapodanych większych kompleksach, przyczem pozwalam sobie prosić WPanów Delegatów pow. Drohobycz i Turka n/S. o łaskawe wybaczenie mi, że w sprawozdaniu swem wtargnąłem w rewiry Ich delegackiej pieczy powierzone. Rozchodzi się tu glównie o rewiry nadleśnictwa Majdan droh. i turcz. własność firmy „Godulla", które w sprawozdaniu swem dla ogólnego całokształtu poruszyć muszę, tem bardziej, że będąc stale w kontakcie z Dyrekcją lasów firmy Godulla — dzięki uprzejmości Dyrektora p. Predersa, korzystać mogę z informacyj — w pierwszej linji wprost ze źródła.

Przystępuję do rzeczy. Tegoroczne rykowisko zaczęło się pod znakiem śniegu i przymrozku, który przetrzymał do początku października z. r. a utworzona warstwa przemarzłego śniegu do 50 cm na wierchach, połoninach i ścieżkach — trzeszcząc pod nogami, utrudniała podchód. Rezultat odstrzałów mimo tego przedstawia się następująco:

1. Nadleśnictwo Majdan — rewiry Malmamstahl-Rybnik, wł. firmy Godulla:

Hr. Reitzenstein z Niemiec — 1 ósmak, w. rog. 5,40 kg

Br. Bosch, z Niemiec — 1 dziesiątak, w. r. 6,10 kg, 1 dziesiątak, w. r. 5,65 kg, 1 wstecznik dwunastak, w. r. 6,20 kg

Hr. Sierstorff z Niemiec, 1 dwunastak, w. r. 7,00 kg, 1 dziesiątak w. r. 6,00 kg, 1 wstecznik dziesiątak, 5,40 kg

Br. Schell z Niemiec, 1 czternastak, w. r. 6,35 kg.

Razem 8 jeleni — ryczało ogółem około 100 jeleni.

2. Zarząd dóbr Lubienie — rewir Dębina-Czertiż-Kamionka.

P. Fryd. Gartenberg, 1 dziesiątak, w. rogów 7,25 kg, 1 czternastak, w. rogów 6,15,

P. Aleksander Gartenberg, 1 dziesiątak, w. r. 5 kg; ryczało ogółem około 12 jeleni.

3. Zarząd lasów br. Groedla, Skole — rewir Kruszelnica:

P. Heinrich z Niemiec, 1 czternastak, w. r. 7,80 kg i cztery (dziesiątaki i dwunastaki) o wadze do 5,00 kg.

Ryczało ogółem około 80 jeleni.

4. Zarząd lasów Podhorodce — rewir Sopot:

Hr. Strachwitz z Niemiec, 1 dziesiątak o wadze rogów 5,20 kg. — Ryczało ogółem około 10 jeleni.

Jak z powyższego widać, stan jeleni pod względem jakościowym — w rewirach należących przed wojną do najlepszych, spadł gwałtownie, biorąc pod uwagę wagę poroży przedwojennych, śmiało o 50% — chociaż stan ilościowy z wyjątkiem rewiru Dębina, jeżeli nie przewyższa, to w każdym razie odpowiada przedwojennemu.

Procentowo ogólnie **we wszystkich powyższych rewirach** stan przedstawia się następująco:

kapitalnych	około	8%
średnich	„	12%
słabych	„	15%
łań	„	65%

Następstwem tej bezwzględnie nieproporcjonalnej ilości łań, gdzie na harem 12—14 łań, przypada jeden byk — co osobiście w szeregu wypadków stwierdziłem, będzie wycieńczenie byków, a w rezultacie płodzenie degeneratów. — Widziałem i obserwowałem sam szereg jeleni dziesiątaków i dwunastaków, których zupełnie zmarniałe wieńce, przedstawiały obraz zanikającej władzy królewskiej karpackich jeleni. Koniecznem jest w imię racjonalnej gospodarki łowieckiej, by M. T. Ł. w porozumieniu z P. Z. T. Ł. i Ministerstwem Rolnictwa w Warszawie, zarządziło **przymusowy odstrzał łań i degeneratów** — bo niedługie czasy a dobrze osadzone wieńce jeleni karpackich należeć będą do wspomnień przeszłości. Zresztą tą bardzo piekącą i zdaniem mojem bardzo pilną kwestję zostawiam do rozstrzygnięcia i **załatwienia jak najprędzej,** lepszym od siebie znawcom i kompetentnym czynnikom państwowym, którym dobro łowiectwa naszego na sercu leży.

Ogólny zwierzostan w powyższych rewirach przedstawia się graficznie następująco:

1) Nadleśnictwo Majdan — wł. firmy „Godulla":

Rewir: Malmamstahl, pow. około 6.000 ha, młode kultury i drągowina; — Rybnik, pow. ok. 2.500 ha, pół starodrzew, pół kultury, — Zubrzyca, pow. 5.000 ha, pół starodrzew, pół kultury, — Jasionka, pow. ok. 3.500 ha, lasy dziewicze stare.

Niedźwiedzi: 1 stary, 1 niedźwiedzica, 2 piastuny — prócz tego lisy, borsuki i przejściowe wilki i rysie.

Gospodarka łowiecka dzięki staraniom nadleśniczego p. inż. Jaworskiego — wzorowa.

REWIRY	JELENIE-BYKI stałe			JELENIE-BYKI przechodnie			JELENIE-ŁANIE stałe		JELENIE-ŁANIE przechodnie		CIELĘTA stałe	CIELĘTA przechodn.	ROGACZE			KOZY		DZIKI		
	kap.	średn.	słabe	kap.	średn.	słabe	dobre	jałowe	dobre	jałowe			kap.	średn.	słabe	stare	młode	odyńce	warchlaki	lochy
Malmamsthal	15	15	90	2	6	10	250	30	—	—	350	—	16	26	33	110	128	16	30	12
Rybnik	1	2	2	—	—	—	10	2	—	—	10	—	3	18	7	46	14	—	—	—
Zubrzyca	—	—	10	—	5	12	20	—	40	—	15	—	3	5	5	30	46	6	8	3
Jasionka	—	3	—	—	—	—	12	—	—	—	5	—	3	18	6	45	5	—	17	4
RAZEM:	16	20	102	2	11	22	292	32	40	—	380	—	25	67	51	231	191	22	55	29

2) Zarząd dóbr Lubienie — wł. Br. Gartenbergów:

Rewir: Dębina, pow. około 1.300 ha, zręby i kultury, — Truchanów, pow. ok. 1.000 ha, starodrzew, zręby, kultury, — Stynawa, pow. 600 ha, zręby i kultury, — Zdzielna pow. ok. 1.400 ha, starodrzew i kultury, — Hromohorb, pow. ok. 1.000 ha, kultury.

REWIRY	JELENIE-BYKI stałe			JELENIE-BYKI przechodnie			JELENIE-ŁANIE stałe		JELENIE-ŁANIE przechodnie		CIELĘTA stałe		ROGACZE			KOZY		DZIKI		
	kap.	średn.	słabe	kap.	średn.	słabe	dobre	jałowe	dobre	jałowe			kap.	średn.	słabe		młode	odyńce	warchlaki	lochy
Dębina	—	—	10	2	2	5	80	15	—	—	20	—	8	17	20	45	50	10	15	8
Truchanów	—	—	2	—	2	—	10	2	—	—	3	—	3	10	5	20	20	16	27	12
Stynawa	—	—	1	—	1	—	—	1	1	—	1	—	3	15	3	25	30	—	2	—
Synow. Zdzielna	—	—	—	1	2	3	5	2	6	—	2	—	5	18	7	25	30	1	3	1
Hromoharb	—	—	3	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	2	2	10	8	—	—	—
RAZEM:	—	—	16	3	7	8	95	20	7	—	26	—	20	62	37	125	138	27	47	21

Niedźwiedzi: 1 niedźwiedzica i 2 piastuny — o ile stwierdzono, nie trzyma się stale — przechodnie — prócz tego lisy, borsuki — w Synowódzku niżnem i Lubieńcach. Stan zajęcy dobry. W Bołdach od Kamionki stałe żbiki — ryś i wilki przechodnie.

Gospodarka łowiecka dzięki wkładom i staraniom właścicieli Br. Gartenbergów (obfita karma i słoniska) — wzorowa. Z roku na rok widoczne ślady poprawy.

3) Zarząd dóbr br. Groedlów:

Rewir Kruszelnica, pow. około 4.000 ha, starodrzew, kultury i zręby.

REWIR	JELENIE-BYKI stałe			JELENIE-BYKI przechodnie			JELENIE-ŁANIE stałe		JELENIE-ŁANIE przechodnie		CIELĘTA		ROGACZE			KOZY		DZIKI		
	kap.	średn.	słabe	kap.	średn.	słabe	dobre	jałowe	dobre	jałowo			kap.	średn.	słabe		młode	odyńce	warchlaki	lochy
Kruszelnica	25	45	35	—	—	—	140	30	—	—	75	—	16	26	30	100	130	16	30	12
RAZEM:	25	45	35	—	—	—	140	30	—	—	75	—	16	26	30	100	130	16	30	12

Para niedźwiedzi, para piastunów stale, prócz tego lisy i borsuki — wilki i rysie przechodnie.

Gospodarka łowiecka spoczywająca w rękach nadleśniczego p. Senczyny pod każdym względem wzorowa.

4) Zarząd dóbr Podhorodce — wł. I. Pistyner:

Rewir: Podhorodce pow. około 1.300 ha kultury, — Sopot, około 1.200 ha, starodrzew i kultury.

REWIRY	JELENIE - BYKI						JELENIE - ŁANIE				CIELĘTA		ROGACZE			KOZY		DZIKI		
	stałe			przechodnie			stałe		przechodnie		stałe	przechodnie								
	kap.	średn.	słabe	kap.	średn.	słabe	dobre	jałowe	dobre	jałowe			kap.	średn.	słabe	kap.	młode	odyńce	warchlaki	lochy
Podhorodce	—	—	—	5	5	5	5	—	20	2	—	5	15	25	20	65	25	6	7	5
Sopot	2	5	3	5	10	10	50	5	20	—	15	—	10	20	30	60	30	5	5	3
RAZEM:	2	5	3	10	15	15	55	5	40	2	15	5	25	45	50	125	55	11	12	8

Niedźwiedź, ryś, wilk przechodni z sąsiednich ogromnych kompleksów leśnych br. Groedel i firmy Godulla.

Gospodarka łowiecka mierna — jelenie przeważnie przechodnie, jak wyżej.

W końcu swego sprawozdania nie mogę pominąć milczeniem, że porykowisko (Nachbrunft) trwało nieprzerwanie do 13 października b. r. i nieustępowało w niczem właściwemu rykowisku*). Pogoda od 5 X 1931, dopisywała wspaniale. W tym okresie czasu miałem dwukrotnie spotkanie z kłusownikami, a to 8 X. wieczorem i 10 X. rano, przy podchodzie ryczącego jelenia w rewirze „Pid huzycią" w Sopocie — tak jednakowoż nieszczęwie, że w chwili kiedy uwaga moja cała skoncentrowana była na niewidocznego ryczącego jelenia, wlazłem wprost na skierowane na mnie dwie lufy karabinów — dwóch kłusowników, podchodzących ze strony przeciwnej tego samego jelenia, którzy mnie pierwsi zobaczyli i zanim się zorjentowałem, z wymierzonymi przeciw mnie karabinami, zniknęli w krzakach. Tych samych zauważyłem przez szkła w dwa dni później w innem miejscu, przechodzących do sąsiednich lasów w Kruszelnicy, przez Sopocką połoninę, granicą od Paraszki.

*) Nie było to porykowisko, lecz dalszy ciąg właściwego rykowiska. Red.



KORESPONDENCJE

We Włostowie, pow. Sandomierski, u WP. Szambelanostwa Szymonostwa Karskich, 21 listopada z. r., w 15 strzelb, ubito 303 zajęcy i kuropatw. — Obecni pp.: Krzysztof i Artur Ks. Radziwiłłowie, Tadeusz i Wiktor hr. Plater-Zyberkowie, Stanisław hr. Komorowski, Stanisław Morawski, Mieczysław hr. Kwilecki, Szambelan August Łempicki, Jerzy Jelski, Michał hr. Mycielski, Emanuel i Piotr hr. Moszyńscy, radca Michał Mościcki, Roger hr. Raczyński, Konstanty Ks. Czetwertyński (junior). — Najwięcej sztuk na rozkładzie (28) miał p. Jerzy Jelski.

Dnia 21 grudnia polowano w 6 strzelb w lasach Dzibułki OO. Dominikanów, polowanie dzierżawione przez Pp. Bilińskich. — Wzięto 6 dziczych miotów. Na rozkładzie 5 dzików w tem spory wycinek, lis i 7 zajęcy i rogacz ze złamanym badylem. — Stan zwierzyny w Dzibułkach pierwszorzędny — we wszystkich 6-ciu miotach były dziki. — Polowanie wzorowo prowadził nadleśniczy Stefak. — Królem polowania p. J. Biliński z Mycowa: dzik, rogacz i 2 zające.

G.

Pieniaki, 17 grudnia 1931 r.

Dnia 10 XII 1931, odbyło się polowanie u p. Jadwigi Cieńskiej w Turczynowie ad Załoźce, na którem w sześć strzelb ubito 45 zajęcy, 2 lisy.

Dnia 11 XII 1931, odbyło się polowanie u p. Ludomira Cieńskiego w Bródku ad Załoźce, na którem w 6 strzelb ubito 70 zajęcy, 2 lisy.

Pan Starosta zborowski Kocół twierdził, że widział gdzieś borsuka ze świńskiemi racicami. Upraszam PP. Myśliwych, by zechcieli się wypowiedzieć, czy są takie gatunki borsuków i czy już ktoś takiego widział?

Marjan Wesołowski

Chorzelów, 2 stycznia 1932 r.

Przesyłam w załączeniu odbitkę fotografji rogów jelenia, zabitego w 1931 roku w dniu 26-go września, na rykowisku w Chorzelowie. Dotąd nigdy nie było tu rykowiska za wyjątkiem 1929 r., kiedy zabity przezemnie byk, po raz piewszy sam ryczał. „Otwarcie" więc, że tak powiem, rykowiska nastąpiło zeszłego roku. Ryczało pięć jeleni, a sądząc po głosie, były to raczej poważne byki.

Zabity przezemnie byk jest pod względem formy jednym z najlepszych nizinnych jeleni, jakie widziałem. Poważnym defektem



jego urody jest wysokość, pozostawiająca wiele do życzenia. Poniżej przytaczam szczegóły co do wagi i rozmiarów tych rogów, przyczem nazywam rogi prawy i lewy, tak jak je jeleń na głowie nosi. Rogi są ważone po wygotowaniu z tym kawałkiem czaszki, jaki widać na fotografji, na drugi dzień po wygotowaniu.

Waga: 9 kg 20.

Rozpiętość pomiędzy najdalszymi końcami wystającymi na zewnątrz wynosi 103 cm, rozpiętość wewnętrzna 58 cm.

Grubość:prawy róg 17 i ½ cm, lewy róg 16 i ½ cm, mierzone w najcieńszem miejscu pomiędzy drugą a trzecią odnogą. W najgrubszym punkcie tego samego miejsca: prawy róg 18 i ½ cm, lewy 18 cm.

Obwód obydwu koron po 22 cm.

Obydwa oczne mają po 39 cm.

Wobec rozłożystości rogów trudno mi było ściśle wymierzyć ich wysokość, są one stanowczo niestety o wiele za niskie. Prawy róg ma 90 cm, lewy 92 cm, są to pomiary zewnątrz każdego roga brane, wewnętrzna strona wykazuje na każdym rogu różnicę na minus po dwa centymetry.

Michał hr. Tarnowski

13 i 14 XI 1931, polowano w Wiszence w 12 strzelb. Pierwszy dzień pogodny, drugi deszczowy. Na rozkładzie 93 zające, 3 lisy i słonka. — Królem polowania był Witold Lewartowski z 13 zającami i lisem.

Jan Stanek

W Spasie, pow. Kam. Strum., w 10 strzelb, przy silnej odwilży w dniu 28 XII 1931, padło 81 zajęcy, 4 lisy i 2 jastrzębie. — Król polowania zabił 13 zajęcy i 2 jastrzębie.

W Borku sieleckim, pow. Kam. Strum., w dniu 31 XII 1931 r., w 3 strzelby przy strasznem błocie, padło 33 zajęcy.

Bartmański

Kościelec, p. Chrzanów 18 grudnia 1931 r.

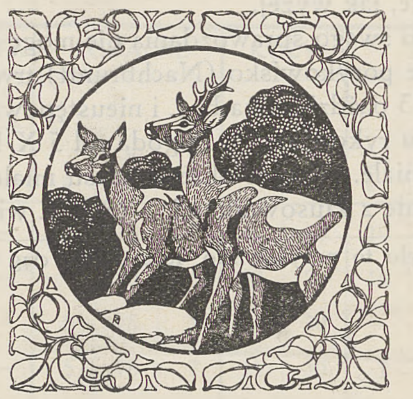
W dobrach Zatorskich własności Adama hr. Potockiego, odbyło się polowanie w dniach 2 i 3 grudnia przy udziale pięciu, a w drugim dniu polowania siedmiu myśliwych. Ogółem padło 861 sztuk, w tem 481 zajęcy, 309 bażantów, 70 kuropatw za zezwoleniem Min. Roln. i 1 królik. — We wrześniu wskutek niebywale wielkiego wylewu Wisły i Skawy, wielkie przestrzenie pól były pod wodą a ogromne ilości bażantów i zajęcy wytopiły się, więc wynik powyższy jest wprost świetny. — Dwaj królowie mieli na rozkładzie po 193 sztuki.

A. S.

Łany Sieleckie, 5 stycznia 1932 r.

Dnia 5 I. b. r., odbyło się polowanie w Łanach sieleckich u Pp. Kazimierzostwa Godlewskich w 11 strzelb. Wzięto 15 leśnych miotów; na rozkładzie 2 lisy i 103 zające. — Królestwo wystrzelał p. Biliński z Szarpaniec mając 14 zajęcy. — Rezultat o 100 procent lepszy od zeszłorocznego. Mroźny (— 9° R) cichy dzień.

K. Godlewski



Wiadomości handlowe

Ceny targowe zwierzyny łownej w styczniu 1932 r.

Sarnina kg	od zł 1·20	do 1·30
dzik kg	„ „ 0·50	„ 0·00
zając ze skórą	do „ 3·00	
„ bez skóry	od „ 2·20	„ 0·00
bażant	„ „ 5·50	„ 0·00
kaczka	„ 2·00	
s'onka	„ 2·50	

Ceny surowców zwierząt futerkowych pochodzenia kraj.

Kuna (różnica między kaminką a tumakiem nieznaczna)	od zł 75·00	do 85·00
wydra waha się w granicach . . .	„ „ 80·00	„ 110·00
lis który dawniej królował, dziś niema wielkiego popytu, to też cena lisa wynosi .	„ „ 35·00	„ 55·00
tchórz	„ „ 15·00	„ 20·00
borsuk	„ „ 8·00	„ 12·00
wiewiórka	„ „ 1·00	„ 1 00
gronostaj	„ „ 5·00	„ 7·00
zając	„ „ 0·70	„ 0·80
króliki	„ „ 0·40	„ 0·80
skóra sarnia	„ „ 1·50	„ 2·00
skóra jelenia	„ „ 5·00	„ 8·00
skóra z dzika	„ „ 7·00	„ 10·00

Redaktor odpowiedzialny Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16